



Przedpłata ćwierćroczna na pocztach: w państwie niemieckiem 45 fen., z odnośnieniem do domu 60 fen., — W Austro-Węgrzech 40 krajc., z odnośnieniem do domu 47 krajc. Przedpłatę przyjmują wszystkie urzędy, agentury pocztowe i listonosze.

Przedpłata w ekspedycji w Wrocławiu (Hummerei 39/40) ćwierćrocznie z odnośnieniem do domu 45 fen. W dalsze strony pod przepaską 85 fen. Zamówienia przyjmują także wszystkie księgarnie, agentury, jako też kolporterzy.

Numer 37.

Wrocław, dnia 12 września 1897.

Rocznik III.

Kalendarz tygodniowy.

Niedziela, 12 września. 14 niedziela po Świątkach.
W Prusach: Narodzenie Najśw. Panny Maryi.
W Austrii: Imię Najśw. Panny Maryi.
Poniedziałek, 13 września. Św. Eulogiusza Męcz.
Wtorek, 14 września. Podwyższenie Krzyża św.
Środa, 15 września. W Austrii: Oktawa Narodzenia Najśw. Panny Maryi. — Suche dni. Post ścisły bez z wstrzymania się od mięsa.
Czwartek, 16 września. Św. Korneliusza Pap. i św. Cypryana Bisk. Męcz.
Piątek, 17 września. Stygmata św. Franciszka z Asyżu. — Suche dni. Post ścisły z wstrzymaniem się od mięsa.
Sobota, 18 września. Św. Józefa z Kupertino Wyzn. Suche dni. Post ścisły bez wstrzymania się od mięsa.

Wieczna adoracya.

Niedziela, 19 września. Dzień: Neisse kościół dominikański, Fil. Heinrichau (Archip. Reichenbach), Wiesenthal ad libitum, Muskan, Nieder-Salzbrunn.
Noc 19/20: WW. SS. Boromeuszki Dobrau.
Poniedziałek, 20 września. Dzień: Fil. Hermsdorf (Archip. Waldenburg). Noc 20/21: WW. Siostry szkolne Breslau, Patschkau kościół parafialny.
Wtorek, 21 września. Dzień: Fil. Wilkau (Archip. Kanth). Noc 21/22: WW. Bracia Miłos. Pilchowitz.
Środa, 22 września. Dzień: Thomaswaldau ad lib., Noc 22/23: WW. SS. Boromeuszki Dyhernfurth.
Czwartek, 23 września. Dzień: Fil. Steinsdorf (Arch. Zülz). Noc 23/24: WW. SS. Dominikanki Berlin Katharinenstift.
Piątek, 24 września. Dzień: M. a. Gross-Mochbern, Noc 24/25: WW. SS. Boromeuszki Gleiwitz.
Sobota, 25 września. Dzień: Hirschberg. Noc 25/26: WW. Szare Siostry Gross-Glogau.

Książka do nabożeństwa dla wiecznej adoracyi,

którą Jego Eminencya nasz Najprzewielebniejszy Książę Biskup przepisał dla wiecznej adoracyi ma tytuł:

„Godzinki Adoracyi Najświętszego Sakramentu.“

Można ją nabyć po cenie 60 fen., razem z porto po 70 fen., pięknie oprawną w ekspedycji „Posłańca“ i u agentów.

Wyjdzie pod koniec tego miesiąca.

Redakcyja „Posłańca Niedzielnego“.

Przeistoczenie się nasze w Chrystusa przez Komunią świętą.

Pokarm dla ciała, jak wiemy, przemienia się w ciało i krew naszą. To jest celem ziemskiego pożywienia. Inaczej jednak ma się rzecz z Chlebem niebieskim. Chleb ten nie na to bywa nam dany, aby się w naszą przemieniał istotę, ale ażebyśmy się sami przemienili w Tego, którego przyjmujemy jako pokarm dla dusz naszych. „Jestem pokarmem wielkich“, powiedział również Zbawiciel i jak nas uczy święty Augustyn, „nie ty więc przemienisz mię w siebie, ale sam raczej we mnie się przemienisz.“ „Zbawiciel chciał“, tłumaczy nam Sobór trydencki, „ażeby ten Sakrament był przez nas przyjmowany jako duchowy pokarm dla dusz naszych, za pomocą którego te ostatnie, pokrzepione i wzmocnione, miałyby swe życie w Tym, który powiedział: „Kto Mnie pożywa, przezemnie żyć będzie.“

Ojcowie święci starają się nam to objaśnić za pomocą rozmaitych porównań. „Podobnie, jak gdyby ktoś wlał roztopionego wosku do innego roztopionego wosku i oba te woski zupełnie zmieszały się ze sobą“, mówi święty

Cyryl aleksandryjski, „tak też i ten, kto przyjmuje Ciało i Krew Pańską, łączy się z Panem tak ściśle, że Chrystus w nim przebywa, a on w Chrystusie.“ To porównanie pokazuje nam wyraźnie, jak ściśle jedno-
czymy się z Chrystusem, lecz nie daje nam jeszcze poznać dokładnie, jak sami w Niego przechodzimy. Podobnie, jak przy stworzeniu tętnął Pan Bóg Adamowi ducha żywota, tak też i Zbawiciel w Komunii świętej chce nam wlać nowe życie, święte niebiańskie życie.

Jeżeli się złotą pieczęć na miękkim odbije wosku, to pieczęć wytłoczy na nim napis, wizerunek lub rysunek, jaki sama nosi. Tak się też dzieje i z duszą ludzką podczas Komunii świętej. Boski Zbawiciel odbija w niej również cały swój obraz, tak, że dusza ta Boski otrzymuje wizerunek. Święty Tomasz z Akwinu używa jeszcze w tej mierze innego porównania. „Jak szlachetny szczep, wszadzony do dzikiego drzewa dzięki przyrodzonej swej własności niszczy ostry jego sok, zamieniając je we własną szlachetną naturę i sprawiając, że odtąd to drzewo już tylko szlachetne rodzi owoce, tak też i Ciało Chrystusowe, wszczepione w nas przez Komunię świętą, przemienia nasze wady i niedoskonałości w niewysłowioną Jego dobroć, tak że jak owo drzewo wydaje tylko szlachetne liście, kwiaty i owoce, tak i my również owoce sprawiedliwości wydajemy.“ Szczip jest zwykle tak malutki, że niktby nie sądził, że posiada on taką cudowną niemal własność i niktby temu nie uwierzył, gdybyśmy codziennie na to nie patrzeli. Tak się też dzieje, gdy w duszy naszej zaszczepli się szczip z korzenia Jessego, bo szczip ten łączy się z nami daleko ściślej, niż naturalny szczip z drzewem.

Święty Grzegorz z Nissy stara się jeszcze wytłómaczyć nam tę prawdę za pomocą innego porównania. „Jak trochę kwasu czyni całą masę ciasta podobną do siebie“, mówi, „tak też i Ciało Pana całkowicie w siebie nas przemienia.“ Kwas przenika całą mąkę, udzielając jej swego smaku, swych własności, swej istoty. Tak też i kwas niebieski, Jezus Chrystus przenika całe nasze serce, nadając mu niebiański smak, niebiańskiego ducha, słowem niebiańską istotę. Dla tego też i Kościół wschodni zowie po prostu kwasem Przenajświętszą Eucharystyę.

Ale czyż przyjmując Zbawiciela, pozostajemy sami być ludźmi? Czy Zbawiciel zabiera nasze serce i sam naszym sercem się staje? Czy zabiera naszą duszę i staje sam na jej miejscu? Nie, tak nie jest. Ale jak żelazo samo przez się jest zimnem i pozbawionem połysku, zostawszy zaś wrzuconem do ognia, nabiera jego ciepła i blasku, pomimo tego zaś jak przedtem pozostaje żelazem, tak też i serce nasze zostawszy włożonem w ogień niebieski, którym jest Chrystus, nabiera jego ciepła i światła. Czyż sami tego nie widzimy? Nie będę teraz pytał, czy tego duchowo pojąć nie możemy, lecz nie ulega wątpliwości, że nie możemy tego widzieć własnymi oczyma. Atoli katechizm rzymski nas uczy, że jak przez przemienienie czyli przeistoczenie na zewnątrz żadna w chlebie i winie nie objawia się zmiana, gdy tymczasem cała ich istota przechodzi prawdziwie w Ciało i Krew Chrystusa, tak też i my otrzymując prawdziwe życie z Przenajświętszego Sakramentu Eucharystyi, wewnętrznie zostajemy powołani do nowego życia, chociaż na zewnątrz żadnej nie widać w nas zmiany. Cała przemiana bowiem odbywa

się w głębi duszy, której swemi oczyma widzieć nie możemy.

O, jakże wybornie stosują się do Komunii świętej następujące słowa Apostoła: „Albowiem które On przejrzał, te też przeznaczył, aby byli przypodobani obrazowi Syna jego, żeby on był pierworodnym między wieloma braćmi.“ (List do Rzymian VIII, 29.) Starajmy się jednak zgłębić bardziej jeszcze tę piękną prawdę wiary. „Sakrament“, mówi katechizm (str. 81, N. 26) „jest to znak widzialny, ustanowiony przez Jezusa Chrystusa i przez który wewnętrzna łaska udzielona nam zostaje.“ Przenajświętszy Sakrament Ołtarza przedstawia najprzód naszym oczom zewnętrzną swoją postać, lecz pod tą postacią ukryty jest sam Zbawiciel. Jakż więc jest znak zewnętrzny, który nam w tym świętym Sakramencie wewnętrznej udziela łaski? Czy to zewnętrzne postacie przemieniają nas i czynią podobnymi do Zbawiciela, czy też ukryty pod nimi sam Zbawiciel?

Świętymi i podobnymi do siebie samego czyni nas Zbawiciel, utajony pod temi postaciami. Gdyby Jego samego tu nie było, to czegóż owe postacie mogłyby dokonać? Atoli pod temi postaciami ukrywa się człowieczeństwo i Bóstwo naszego Zbawiciela, On sam w nich przeło łączy się z nami, czyniąc nas podobnymi do siebie.

Czyż więc możemy jeszcze się dziwić, że ten Przenajświętszy Sakrament zupełnie odrębny w duszy naszej wywołuje skutek, niż wszystkie inne Sakramenta święte? W innych Sakramentach złożył również Zbawiciel skarby łask niebieskich, i rozdaje nam je własnymi rękami, lecz tu daje nam nie tylko pewien skarb niebieski, ale daje nam całe niebo — samego siebie.

Mamy taką samą naturę ludzką, jak Zbawiciel. Czy jednak przez to, że ludźmi jesteśmy, możemy czynić cuda? Z pewnością nie. Jeżeli zatem święci czynili cuda, to sam Pan Bóg przez nich cudów tych dokonywał. Tak też uczynił i Zbawiciel. Cud zdziałany mocą Jego Bóstwa i Najświętszego Człowieczeństwa, był narzędziem, użytym przez Jego Bóstwo.

Gdy niewiasta z Tyru dotknęła szaty Zbawiciela, wówczas z Najświętszego Jego Człowieczeństwa wyszła moc, udzielona mu przez Bóstwo i w cudowny sposób przywróciła jej zdrowie. O ileż większe cuda zdziała Zbawiciel względem tych, którzy nie tylko dotykają Jego szaty, albo nawet Jego prawdziwego Ciała, lecz Go samego pożywają! W węglu widzimy ogień i drzewo zupełnie zjednoczone ze sobą. Tak też i w Chrystusie ten ogień czyli Bóstwo łączy się z drzewem-człowieczeństwem. Cóż wydaje płomień i żar? Nie drzewo, ale ogień, a jednak ogień pali się za pośrednictwem drzewa, które całkowicie przenika. Tak też i Zbawiciel, Syn Boży, przez swoją ludzką naturę, przez swoje Najświętsze Ciało, obecne rzeczywiście i prawdziwie w Sakramencie Ołtarza, oddziaływa na duszę tego, kto Go przyjmuje.

A zatem sam Bóg zstępuje do naszej duszy! Jakież to niepojęte, niewysłowione szczęście! Cóż to za godność dla naszego serca, które staje się jakby niebem! W tem właśnie należy szukać przyczyny, dla czego w Komunii świętej tak obfite łaski na nas spływają! Kiedy ludzie z Kafarnaum nie chcieli temu uwierzyć, lecz sądzili, że swe ciało martwe, bez życia, pokrajane w kawałki da im za pożywienie, wtedy zawołał do nich: „Wszak to duch ożywia, ciało zaś nic nie może zrobić!“ A zatem wszystkie owe dobra daje nam Bóstwo Zbawiciela,

Bóstwo zjednoczone z człowieczeństwem. Tak więc z najświętszym swym człowieczeństwem Zbawiciel zupełnie i całkowicie nam się daje.

Tajemnice świętej naszej wiary podobne są do morza. Widzimy wprawdzie jego powierzchnię, lecz czyż oko potrafi sięgnąć aż do głębi? Tu na ziemi widzimy rzeczy niebieskie tylko tak zagadkowo, jakby w zwierciadle, a jednak jakże wielkimi wydają się nam dary, którymi Pan Bóg ciągle nas obsypuje! Mówmy przeto ze świętym Bonawenturą: „Udziel nam, Panie, łaski, abyśmy ciągle łaknęli Ciebie, pokarmie Anielski, ochłodo świętych dusz, codzienny, nadprzyrodzony nasz Chlebie, w którym mieszka wszelki smak, rozkosz i słodycz! Ciebie, którego Aniołowie pragną oglądać, niech ciągle łaknie moje serce, niech ustawicznie tęskni za Tobą, o źródło wiecznego życia, źródło wiecznego światła, źródło wiecznego szczęścia i skarbie domu Bożego!“

Gonitwa za szczęściem.

(Ciąg dalszy.)

„Leon nie był przyzwyczajony do żadnych trunków, nie dziw więc, że w tem towarzystwie, które go zachęcało ciągle do picia, stracił niebawem przytomność. Fundusze jego bardzo były szczupłe, gdyż zabrał ze sobą tylko własne pieniądze, otrzymane niegdyś od chrzestnego ojca, ale i ta niewielka sumka wystarczyła, ażeby nowi przyjaciele uraczyli się sownie jego kosztem, on zaś sam upił się zupełnie. Pito więc, hałasowano, śpiewano. Młodzieniec na jedną tylko chwilę odzyskał przytomność i to wówczas dopiero, gdy opuszczał szynk, wsparty na ramiona dwóch nawpół trzeźwych majtków. Zdawało mu się wtedy, że spostrzegł swoją matkę, która ominęła szybko gromadę pijaków, podążających ku wybrzeżu. Chciał wołać i wyrwać się z żelaznego objęcia swoich towarzyszy, lecz język jego ciężkim był jak ołów, siły zaś zupełnie go opuściły. Zamknął przeto oczy i stracił przytomność.“

To rzekłszy, starzec zamilkł i oparł głowę na prawej ręce, jakby chcąc zebrać rozproszone myśli, poczem ciągnął dalej swe opowiadanie:

„Okręt, na który dostał się Leon, zostawał pod rozkazami pewnego bardzo energicznego i przedsiębiorczego człowieka, który chociaż w służbie wymagał od swych podwładnych sumienności i pracowitości, nie był jednak zupełnie pozbawionym uczucia ludzkości i miłości bliźniego. Nazajutrz więc po pamiętnej owej pijatyce, gdy już Leon mógł utrzymać się na nogach, zaprowadzono go do kapitana. Chłopak wstydził się tak okropnie, że przyszedł ze spuszczonei oczyma.

„No, głowę do góry!“ odezwał się kapitan. „Być może, iż niepięknie rozpoczęłeś życie na własną rękę, ale mam nadzieję, że to było po raz pierwszy i ostatni, oraz że żyjąc teraz z tobą, nie będę potrzebował ciągle cię łąć. Chcesz zostać u mnie, czy nie? Pytam cię dla tego, że nie chcę na swym okręcie zatrzymywać nikogo wbrew własnej jego woli. A zatem tak, czy nie?“

Człowiek ten podobał się Leonowi, gdyż dał mu przynajmniej dobrą radę i nie uważał go widocznie za zepsutego zupełnie młodzieńca. Dla tego też nabrał on znowu otuchy, spojrzał śmiało w oczy kapitana i głosem donośnym odpowiedział: „Tak!“ Zresztą nie pozosta-

wało mu już teraz nic innego do zrobienia. Mały jego zasób pieniężny wyczerpał się całkowicie, uczucie dumy i miłości własnej znacznie zachwiało się i zmniejszyło, do domu zaś nie śmiał wrócić z obawy wstydu i sztyderstwa.

Za dużo zabrałoby nam czasu i znudziłoby pana, gdybym chciał opowiadać szczegółowo wszystkie drobne wypadki podczas służby Leona na okręcie. Wystarczy, gdy powiem, że ładunek jego przeznaczony był dla Nowego świata i że niebawem podniesiono kotwicę. Leon, który od dzieciństwa spędzał większą część życia na łodzi, wyuczył się z łatwością wszystkich obowiązków okrętowego majtki i zdobył sobie wkrótce zadowolenie kapitana, oraz szacunek wszystkich towarzyszy.

Niezmiernie się też ucieszył, gdy okręt wypłynął na pełne morze, gdzie widać było dokoła tylko niebo i wodę. Wrażenia odnoszone podczas żeglugi zatarły w jego sercu znaczną część tęsknoty za domem i rodziną. Wkrótce „Neptun“ dotarł szczęśliwie do Bostonu. Tam wydobyto na ląd cały ładunek, kapitan zaś zaczął starać się o nowy, który z pewnym dla siebie zyskiem mógłby zabrać z powrotem do Europy. Naturalnie nie szło to prędko, żadna bowiem strona nie chciała przyjmować na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności. Leon miał wówczas dużo czasu do napisania listu do stroskanej matki, ale go nie napisał, częścią z powodu, iż w Bostonie wiódł bardzo wesołe i lekkomyślne życie, częścią zaś dla tego, iż nie wiedział, co ma pisać. Nie chciał się przyznać, że popełnił błąd, o szczęściu zaś również nie mógł pisać, bo go jeszcze nie zdobył. Pocieszał się tylko myślą, iż to długo nie potrwa, i że wówczas będzie mógł napisać długi list oraz przesłać w nim dużo pieniędzy.

Po dwóch miesiącach okręt znowu podniósł kotwicę i cała załoga wielce się ucieszyła, że miała już wracać do domu, a w dodatku spodziewała się otrzymać wysoką zapłatę. Ładunek, złożony z cukru i bawełny, był wprawdzie niezbyt wielki, lecz sówite obiecywał zyski, ponieważ zaś „Neptun“ był wybornie zbudowanym okrętem, żegluga więc odbywała się pomyślnie i wesoło. Ogólna jednak radość nie długo trwać miała. Wówczas właśnie zarówno na lądzie, jak i na morzu ciągle toczyły się wojny, na falach zaś oceanu snuło się mnóstwo rozbójniczych czyli korsarskich okrętów, których kapitanowie napadali na napotykaną przez siebie żaglowce, jeżeli te ostatnie do innego, niż oni sami należały narodu i inną, niż one, wywiesiły chorągiew. Nieszczęście chciało, że jeden z takich korsarskich czyli rozbójniczych komendantów odkrył przypadkiem Neptuna i ciesząc się z góry tak wycmienitą zdobyczą, puścił się za nim w pogoń. „Neptun“ rozpiął wszystkie żagle i uciekał z szybkością błyskawicy, ale okręt korsarski był od niego lżejszy i odległość pomiędzy nimi coraz bardziej się zmniejszała. Kiedy nareszcie zbliżyły się do siebie na odległość strzału, wówczas dowódca kazał dać ognia z dział i rozkaz ten wykonano niezwłocznie. O jakimkolwiek odporze ze strony załogi „Neptuna“ nie mogło nawet być mowy, składała się ona bowiem zaledwie ze dwunastu ludzi razem z kapitanem i miała tylko jedną starą armatę, która mogła służyć jedynie do sygnałów alarmowych, lecz nie do obrony. Żadne zaś sygnały nieby nie pomogły, byliśmy bowiem w ręku daleko silniejszego nieprzyjaciela, jak mysz w kociej łapie. „Neptun“ więc musiał wywiesić białą chorągiew i oczekiwać nieprzyjacielskich łodzi, które niebawem nadpłynęły. Zwy-

ciężcami naszymi byli Francuzi, a chociaż postępowali z nami grzecznie i delikatnie, niewielką to wszakże stanowiło pociechę, skoro wszystkie nasze nadzieje zniweczone zostały. Załogę „Neptuna“ zamknięto w kajucie, okręt zaś nasz uznano za „pomyślną zdobycz“ i zabrano do Francji, gdzie naszego kapitana i nas wszystkich uważano odtąd za jeńców wojennych. Natychmiast po wysadzeniu na ląd rozdzielono nas tak, żeśmy już nigdy więcej nie ujrzeli swych towarzyszy. Leon bardziej, niż kiedykolwiek dalekim był teraz od szczęścia, o którym tak marzył. Niejedną noc przeleżał biedak bezsennie na kamiennej posadzce więzienia, gdzie za całą pościel służyła mu garstka gnijącej słomy. Będąc otoczony przez dzień cały mnóstwem hałaśliwych towarzyszy niedoli, w nocy tylko mógł zastanawiać się poważnie nad swoim położeniem. Czy dla tego opuścił matkę i siostry, skazał samego siebie na wygnanie z ojczystego zakątka, zmarnował młodość, poświęcił czystość sumienia, aby w obcym kraju cierpieć teraz nędzę i nosić łachmany? Często, gdy się budził z gorączkowego snu, wydawało mu się to wszystko jakimś straszem sennem widziadłem, ale niebawem się przekonywał, że to, niestety, nie sen, lecz smutna rzeczywistość.

Raz jeden tylko pozwolono więźniom napisać do swych najbliższych. Stósownie do przyjętego w takich wypadkach zwyczaju listy musiały przed wysłaniem na pocztę być przeczytane przez komendanta, albo jednego z jego oficerów. Leon skorzystał z tego pozwolenia i napisał wszystko, co mu leżało na sercu. Potem lżej mu się zrobiło. Z niecierpliwością i tęsknotą oczekiwał odpowiedzi, ale upływały tygodnie i miesiące, listu zaś do niego jak nie było, tak nie było. Myślał więc, że został opuszczony, odepchnięty i odtąd w pogardliwym milczeniu szukał dla siebie pociechy. Jakże źle i mylnie miał pojęcie o macierzyńskim sercu!

Rok już cały upłynął mu w niewoli, gdy wreszcie nastąpiła wymiana jeńców wojennych. Leon także znajdował się między nimi i po długim pochodzie dotarł do Wiednia. Ponieważ nie miał ze sobą żadnych papierów, dotyczących jego osoby, a zresztą wszystko było mu już obojętne, zaciągnął się więc do wojska, aby tam jeszcze spróbować szczęścia. Młodzień zawsze tak postępuje, po nierozważnym czynie wpada w zniechęcenie, lub próbuje i szuka rozmaitych rzeczy, tylko nie właściwej drogi do poprawy.

Pan, jak widzę, jesteś sam żołnierzem, wiesz przeto dobrze, jak trudnym bywa zwykle początek służby wojskowej, ale Leon nie był wcale niezręczny, a w dodatku nauczył się już słuchać. Nie będę panu powtarzał drobnych i nudnych szczegółów, nie mających nie wspólnego z głównym przedmiotem mego opowiadania. Muszę tylko wymienić pewną chwilę, która mi wynagrodziła sownie wiele doznanych trosk i nieszczęść, oraz uchroniła od wielu błędów. Pomyśl pan sobie tylko, że miałem szczęście widzieć podczas bitwy pod Aspern brata cesarskiego, arcyksięcia Karola, gdy wziawszy chorągiew do ręki poprowadził wśród gradu kul cały pułk do szturm. Taki bohater musiał naturalnie wychować i swego syna na bohatera.

„Mówicie o arcyksięciu Albrechcie“, przerwałem, „który pod Custozzą okrył nieśmiertelną sławą austriackie chorągwie?“

„Naturalnie o nim mówię, mój panie! Otóż pod Aspern takich samych cudów waleczności dokazywał

jego ojciec. Zdaje mi się, że każdy żołnierz dałby się chętnie zabić, gdyby tylko mógł służyć pod takim wodzem. Wówczas dopiero zobaczyłem po raz pierwszy, co znaczy zapal wojenny.“

„Jak to, to i wyście tam byli?“ przerwałem.

„Zdradziłem się, panie“, powoli odparł starzec, „sam bowiem jestem Leonem Maniello. Może jednak lepiej, że to już wyszło na jaw. Nie potrzebuję wstydzić się tego, co dalej nastąpi, skoro pan wiesz już początek, Antoniemu zaś przyda się zapewne usłyszeć smutne moje dzieje, bo i on również należy do lekkomyślnych chłopaków, pragnących szukać szczęścia na szerokim świecie.“

Podąłem starcowi rękę, którą on serdecznie uściśnął i pragnąc przerwać kłopotliwie nieco dla wszystkich nas trzech milczenie, zapytałem:

„Zatrzymaliśmy się na bitwie pod Aspern. Cóż dalej z wami się działo?“

„Dziś musimy na tem zakończyć, mój panie, naszą rozmowę, bo nie mam już czasu na dłuższe opowiadanie. Zresztą nic jego się zerwała, musiałbym więc ją na nowo nawiązywać. Takie wspomnienia wzruszają zaledwie biedne stare serce, muszę mu więc dać trochę wytchnienia, aby sobie odpoczęło po doznaniem wrażenia. Jeżeli pan zechcesz przyjąć tu jeszcze kiedy, wówczas resztę panu opowiem.“

Naturalnie z ochotą na to się zgodziłem, ponieważ zaś niebawem dopłynęliśmy do brzegu, podziękowałem więc staremu przewoźnikowi, obiecując niebawem znowu go odwiedzić. Maniello nie dał się namówić do przyjęcia zapłaty, lecz prosił tylko, abym mu za następnym razem przyniósł trochę swego „ziela“ czyli tytoniu, co chętnie mu przyrzekłem.

Ze względu na spóźnioną już porę wyrzekłem się tym razem zamiaru przypatrzenia się bliżej kolonii rybackiej, lecz natychmiast udałem się do D., gdzie znalazłem powóz, który mnie zawiózł do stałego miejscowego pobytu.

W górze po nademną rozpościerał się niezmierzony firmament, w dole powierzchnia wody i spokojna ziemia, między nimi zaś zawsze niespokojni ludzie, którzy zamiast pocieszać i wspierać się nawzajem, spędzają całe życie na krzywdzeniu, dokuczaniu i szkodzeniu jedni drugim. A jednak tak mało, niestety, mają czasu do czynienia dobrego. Jeden po drugim znika z powierzchni ziemi, jak przy blasku jutrzejki znika gwiazdka na firmamencie, a odbłask jej na przezroczystej tafli wodnej.

* * *

Chociaż ciekawość nie jest wcale moją słabą stroną, muszę jednak wyznać, że tym razem nie byłam od niej wolny. Atoli interesa służbowe nie pozwoliły mi w przeciągu dwóch prawie tygodni zrobić żadnej wycieczki. Naturalnie uwolniwszy się trochę od zajęć, skorzystałem z pierwszego wolnego popołudnia, aby odwiedzić starego Leona Maniello. Znalazłem go w chacie, w której mieszkał z Antonim. Spostrzegłszy mnie, wyszedł on natychmiast na moje spotkanie i powitawszy uprzejmie, wprowadził do izby.

„Dzisiaj będziemy musieli pozostać pod dachem“, rzekł. „Widzisz pan na południu ten mały, białawy obłoczek? Wygląda on zupełnie, jak dym, wydobywający się z wulkanu. Zobacysz pan, że dzisiaj będziemy mieli burzę. Proszę więc rozgościć się u mnie tak, żeby panu było jak najwygodniej.“

Chętnie przyjąłem to zaproszenie i ofiarowawszy Leonowi Maniello przyniesiony dla niego tytoń, obejrzałem się dokoła po całym pokoju. Panowała w nim wzorowa czystość i porządek. Zresztą nie było szczególnego oprócz niewielkiej, lecz bardzo ładnej szkatułki, stojącej na szafie i wyglądającej nieco dziwnie wśród ubogich sprzętów, jakie ją otaczały. Uwagę moją zwrócił także na siebie dokument oprawiony w ramy i zawieszony na ścianie. Wstałem, aby mu bliżej nieco się przypatrzeć i przekonałem się, że była to dymisyja czyli tak zwany wówczas „absztyd“, uwalniający mojego uprzejmego gospodarza od dalszej służby wojskowej w stopniu feldfebla. Dowiedziałem się od niego, że aż do roku 1818 służył Maniello w wojsku jako feldfebel. Przez cały czas moich oględzin starzec zajęty był nakładaniem tytoniu do swojej fajeczki, widząc zaś, że czytam jego dymisyję, rzekł:

„No, no, zobaczylesz pan sam dalszy ciąg mego opowiadania, ale tego nie dość, bo nie wszystko od razu poszło mi gładko.“

„Po bitwie pod Aspern zostałem kapralem, miałem więc już trochę lżejszą służbę i przyjemniejsze pędziłem życie, ale do szczęścia, o jakim marzyłem, było jeszcze bardzo daleko. Teraz inaczej zresztą sądzę o tem, bo mi się zdaje, że lepiej wcale nie zdobyć sobie szczęścia, niż później je utracić. Po bitwie pod Lipskiem, mały syn adwokata i wielki cesarz zarazem, którego przykład choćby do pewnego stopnia pragnąłem naśladować, został wysłany na wyspę Elbę, w następnym zaś roku na wyspę świętej Heleny, gdzie musiały nader dziwne przychodzić mu myśli. Nie będę panu opowiadał o licznych ówczesnych bitwach i potyczkach, bo najprzód musisz pan o nich doskonale wiedzieć, powtóre zaś ja nie spełniłem w nich żadnego bohaterskiego czynu tylko po prostu, jak tysiące i setki tysięcy innych żołnierzy, wykonywałem sumiennie swoje obowiązki.“

Kapitan mój okazywał mi sympatyę, koledzy i podwładni szacunek, zdobyłem sobie nawet lepsze stanowisko, niż ludzie mojego stanu zwykli zdobywać, lecz pomimo tego wszystkiego nie byłem wcale szczęśliwy. Chciej mię tylko dobrze zrozumieć, mój panie. Teraz już nie pragnienie awanturniczych przygód lub żądza bogactw czyniła mię posępnym i niezadowolonym, stałem się już bowiem o tyle rozsądniejszym, że się wyrzekłem na zawsze pragnień tego rodzaju. Przyczyna mego smutku była bardzo prostą: oto czułem, iż nie jestem dobrym synem! Z niepojętą zatwardziałością serca nie przysyłałem do domu przez całe lata żadnych wiadomości o sobie, wmawiając w samego siebie, że to ja jestem obrażoną stroną, że mi umyślnie nie odpowiadano dla tego, iż rodzina nie chce już nic wiedzieć o mnie. Podług mojego zdania jest to prawdziwą łaską Bożą, jeżeli Pan Bóg za pomocą rozmaitych klęsk i nieszczęść zwraca człowieka na dobrą drogę, nie pozwalając mu brnąć coraz głębiej w kałuży występku. Łaski tej i ja miałem również doznać, chociaż omal życiem jej nie przypłaciłem.

Pewnej soboty przed południem kapitan wręczył mi żołd dla całego naszego oddziału, który po południu miał go otrzymać. Włożyłem więc pieniądze do skórzanego czerwonego pugilaresu i schowałem go w szufladzie biurka, które stało w moim pokoiku, służącym zarazem za kancelaryę. Miałem wtedy bardzo dużo roboty, bo pisarz, który mi zwykle dopomagał w pracy, wówczas właśnie zachorował, tak, że wszystko za nas dwóch sam

robić musiałem. Z tego też powodu bardzo rzadko wychodziłem z pokoju.

O piątej po południu wszedł kapitan, mówiąc, że sam wypłaci żołd żołnierzom, ja zaś powinienem mu towarzyszyć. Natychmiast przeto zerwałem się z miejsca, otworzyłem szufladę, aby wydobyć z niej pugilares, ale, niestety, szuflada była pustą. Chociaż omal nie zemdlałem z przerażenia, zdołałem jednak z gorączkowym pośpiechem otworzyć drugą i trzecią szufladę, lecz nigdzie nie znalazłem. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Przeszukałem wszystkie kąty, ale bezskutecznie. Przez cały ten czas kapitan przyglądał mi się uważnie, nie mówiąc ani słowa, a wreszcie rzekł:

„Feldfeblu Maniello, pozostawiam ci pół godziny czasu do namysłu. Staraj się znaleźć pugilares, bo inaczej...“

Nie dokończył tego, co miał powiedzieć, lecz rzucił na mnie tylko nawpół surowe, a nawpół litościwe spojrzenie i szybko się oddalił. Było to z jego strony dowodem wielkiej dobroci, bo mógł natychmiast kazać mię aresztować. Zacząłem znowu gorączkowe poszukiwania, lecz znowu nie znalazłem. Tymczasem minuty upływały jedna za drugą. Przez chwilę szatan okropną nasunął mi pokusę. Na ścianie wisiała broń, chciałem więc ją nabić i niezwłocznie się zastrzelić. Bóg jednak uchronił mię od tej zbrodni budząc w mojej duszy lepsze i szlachetniejsze myśli. Uspokoilem się, panie, a nawet zrobiłem to, czego od młodości już nie czyniłem, to jest zacząłem się modlić.

W oznaczonym czasie nadszedł powtórnie mój kapitan, lecz znalazł mię zupełnie spokojnym.

„Panie kapitanie“, rzekłem, „melduję pokornie, że nie znalazłem pugilaresu, lecz proszę mi wierzyć, że jestem niewinny.“

„Chciałbym temu uwierzyć“, odparł kapitan, „ale tymczasem musisz pójść do aresztu.“

Panie, teraz jeszcze robi mi się naprzemian zimno i gorąco, gdy sobie pomyślę o tych dniach okropnych. Nie mogłem nikomu robić wyrzutów, bo nie widziałem nikogo w swym pokoju, a jednak nie byłem w stanie wytłómaczyć sobie przyczyny zniknięcia pieniędzy. Całe dotychczasowe życie przesunęło się ciągle przed oczyma mej duszy. Uczuwałem w sercu żal i skrucę, niekiedy zaś byłem już bliski rozpacz. Czyż bez własnej winy miałem zostać zdegradowany, haniebnie ukarany i zhańbiony na całe życie? A jednak byłem wdzięczny niebu, bo jeden przynajmniej skarb znalazłem: modlitwę. Zacząłem znowu wierzyć w Boga i Jego sprawiedliwość i jedynie od Jego łaski oczekiwałem swego ratunku.

Jeszcze przed rozpoczęciem właściwego śledztwa dostałem gwałtownej nerwowej gorączki, która mię omal na tamten świat nie wyprawiła. Przez kilkanaście dni leżałem nieprzytomny. Kiedy nareszcie odzyskałem zmysły i przytomność, byłem tak osłabiony, że zaledwie mogłem mówić i podnieść głowę. Wówczas pewnego dnia dziwny miałem sen. Śniło mi się, że do jakiejś szuflady wrzucam ciągle pieniądze, oraz że te pieniądze ciągle znikają. Obudziwszy się, spostrzegłem, że byłem cały obłany potem, lecz był to pot dobroczynny, zapowiadający blizkie wyzdrowienie. Rzecz dziwna, ale od tej chwili nie mogłem już zapomnieć owego snu. Kiedy już trochę odzyskałem siłę, prosiłem naszego kapelana wojskowego, czcigodnego kapłana, który mię w cierpieniu cieszył i pielęgnował, ażeby wyjednał dla mnie rozmowę z kapitanem. Prośbie mojej stało się zadość. Kapitan

przyszedł do mego łoża, ja zaś zacząłem błagać, aby wówczas, gdy już zupełnie wrócę do zdrowia, pozwolił mi pójść raz jeszcze do owego biurka i powtórzyć poszukiwania. Kapitan był surowym, ale sprawiedliwym człowiekiem, przyrzekł więc, że spełni gorącą moją prośbę.

Wreszcie nadszedł ten dzień tak dla mnie ważny i z taką niecierpliwością, a zarazem i trwogą przeze mnie oczekiwany. W obecności kapitana i księdza zbadałem dokładnie, z udanym spokojem całe wnętrze biurka, a zwłaszcza ową nieszczęsną szufladę. Była to niewielka boczna szufladka, dająca się wyciągać tylko do połowy. Wsunąwszy tam dłoń, dotknąłem przypadkiem dość silnie dna, które się w tej chwili trochę obniżyło. Wydałem mimowolny okrzyk radości. Kapitan kazał natychmiast rozebrać górną część biurka i wydobywszy całą szufladę, przekonał się, że miała ona podwójne dno, pomiędzy jednym zaś a drugim leżał pugilares i scyzoryk, który już oddawna uważałem za stracony, gdyż sądziłem, że go podezasz marszu zgubił. Ze wzruszenia omal nie zemdlałem. Kapelan położył mi przyjaźnie dłoń na ramieniu, kapitan zaś podał mi rękę, którą pod wpływem wzruszenia serdecznie ucałowałem.

(Dokończenie nastąpi.)

Niewinnie ukarany.

Słychać obecnie bardzo często, niestety, że dzieci odbierają sobie życie. Jest to coś prawdziwie okropnego i w większej części podobnych wypadków śmiało można powiedzieć, iż są one wyłącznem i bezpośredniem dziełem szatana. Wprawdzie smutne takie zdarzenia bywają najczęściej tylko w wielkich miastach na porządku dziennym, lecz bądź co bądź oplakany ten objaw, właściwy naszym czasom zasługuje na to, aby nań baczną zwrócić uwagę.

Cóż bywa zwykle powodem samobójstwa dzieci? Przeważnie upokorzona pycha, zadraśnięta próżność lub miłość własna i t. p. Ileż to razy się zdarzało, że uczennice i uczniowie odbierali sobie życie z powodu, że jak się im zdawało, niesprawiedliwa i niezasłużona spotkała ich kara! Świadczy to o szalonej prawie, bo zanadto wybujałej miłości własnej, o próżnem i zarozumiałem sercu, a zarazem o niezwykłym tchórzostwie i zniewieściałości charakteru.

Jakże często jednak nierozsądni rodzice lub modne nowoczesne bezwyznaniowe szkoły wychowują dzieci w tem przekonaniu, że tem większą się stanie moralna ich wartość, im więcej będą one dumne i zarozumiałe. Dzieci, które nie przyjmuje pokornie nagany, upomnienia lub kary, choćby nawet zbyt surowej, albo niezasłużonej, nie jest dobrze wychowanem i w późniejszym życiu nikomu żadnego nie przyniesie pożytku. Ileż to bowiem tysięcy razy się zdarza, że i dorosły musi znosić cierpliwie niesłuszność i niesprawiedliwość, ustępować i milczeć, odkładając wyrównanie tego swego rachunku aż do zagrobowego sądu. Kto tego nie potrafi, ten dla siebie i innych jest ciężarem i przeszkodą naturalnie z wyjątkiem takich okoliczności, w których podług prawa Bożego nie powinno być milczenia, ale otwarte wyznanie i energiczna walka w obronie prawdy. Im bardziej zaś człowiek nauczy się w młodości przezwyciężać swą dumę i pychę, tem łatwiej potem mu to przyjdzie.

Jako przyczynek do tak ważnej kwestyi niechaj posłuży następujące opowiadanie z czasów młodości wielkiego katolickiego męża, Józefa Görresa.

W jedenastym roku życia przebyć musiał Görres nader ciężką próbę. Pewnego rana matka jego wszedłszy do jadalni, załamała rozpaczliwie ręce, wołając z widocznym smutkiem:

„O mój Boże, ktoś pokrajał mi umyślnie całą bieliznę!”

Wszystkie spojrzenia padły natychmiast na biednego Józefa, którego zawsze uważano za winowajcę, bo też częstokroć nim bywał. I teraz chłopak zmieszał się niesłychanie. Ojciec był nadzwyczaj oburzony tem, co zaszło i zaraz wytoczył śledztwo.

„Kto to zrobił?”

„Myśmy tego nie zrobiły!” zawołały jednogłośnie wszystkie dzieci. Gniewne spojrzenie ojca utkwilo nieruchomo w twarzy Józefa.

„Czyś to ty zrobił?”

„Nie, ojczu!”

„To on, to on musiał spłatać tak niemądrego figla!” zawołała jedna z dwóch służących, „wczoraj bowiem był na strychu i długo tam coś robił.”

„Szukałem pewnej książki”, tłumaczył się chłopak, „lecz bielizny nie dotykałem wcale.”

„Kłamiesz!” zawołał rozgniewany ojciec, „mam liczne dowody na to, że nie kto inny, jak tylko ty wyrządziłeś nam taką szkodę. Kto jest niewinnym, ten nie potrzebuje tak się mieszać, jakżeś ty się zmieszał przed chwilą. Nikt oprócz ciebie nie był wczoraj na strychu i ty tylko byłbyś zdolnym do takiego postępu. Ty więc bez wątpienia jesteś winowajcą. Przyznaj się zatem do winy!”

„Nie, ojczu, nie zrobiłem tego”, odparł biedak.

Ojciec chwycił laskę, która zaczęła nielitościwie skakać po grzbiecie obwinianego.

„A teraz, czy się przyznasz?” zapytał ojciec po jakim czasie.

„Nie mogę się przyznać, drogi ojczu, bo jestem niewinny”, brzmiała znowu odpowiedź.

Rozgniewany ojciec porwał powtórnie laskę i bił chłopca dopóty, dopóki Józef wijąc się z bólu na ziemi, nie wyznał głośno, że był sprawcą szkody.

Ponieważ przyznał się do winy, należało więc to uwzględnić jako okoliczność łagodzącą, lecz z powodu wielkości wykroczenia ojciec jako najłagodniejszą karę wyznaczył mu okrutną chłostę kijem, którą w przeciągu dni ośmiu biedak miał otrzymywać codziennie o oznaczonej porze.

Było to dla Józefa ośm dni piekielnych katuszy. Nieszczęśliwy stracił apetyt, schudł do niepoznania i sponiewniał okropnie. Skoro nieszczęsna zbliżała się godzina, zaczynał drzeć, płakać i zapewniać o swej niewinności, lecz przez to obostrzał tylko karę. Trzeciego dnia się schował, ale służące wywlekły go z piwnicy. Czwartego i piątego dnia spróbował nawet uciec do miasta, lecz za każdym razem służące potrafiły go odśledzić i prowadziły jak złoczyńcę przez ulice Kobleneyi do rozjątrzonego ojca, a w dodatku opowiadały ludzom o winie, popełnionej przez biednego chłopca. Wreszcie jak wszystko przemija, tak też i te ośm okropnych dni nakoniec przeminęły. Mały Görres powoli odzyskał siły i cała ta sprawa poszła w zapomnienie.

W kilka lat później matka Józefa została wezwana pewnego dnia do łoża umierającej. Była to jedna z dwóch służących, które oskarżyły Józefa.

„Ach, kochana pani“, rzekła konająca, „muszę niebawem przenieść się do wieczności, lecz dusza moja obciążona jest występkiem, który teraz chcę wyznać. To ja i moja towarzyszka pokrajałyśmy wówczas starą bieliznę, aby zmusić panią do kupienia nowej, byliśmy bowiem tak opieszale i leniwe, że się nam sprzykrzyło łątać i cerować. Biedny Józef niesłusznie został wtedy ukarany. Czy może on i czy pani możesz mi przebaczyć?“

Ze łzami rozrzewnienia z obu stron żądane przebaczenie udzielonem zostało i chora spokojnie pożegnała się z tym światem.

Pomimo tak surowej i niesprawiedliwej kary mały Görres nie odebrał sobie życia, i nie stał się wcale nikczemnym niewolnikiem, lecz owszem został jednym z najśmielszych i najodważniejszych obrońców prawa, prawdy i wolności, został człowiekiem, którego Napoleon I bał się jako „czwartej potęgi“, człowiekiem, który rzucał tyranii ogniste i piorunujące słowa wówczas, gdy miliony milczały.

Nauczył się on słuchać starszych i poddawać się dobrowolnie ojcowskiemu jarzmu i dla tego właśnie został człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu. Rodzice, nauczyciele i dzieci, zwłaszcza zuchwałe, dumne i rozpieszczone mogą z powyższego przykładu zaczerpnąć pożyteczną dla siebie naukę — jeżeli zechcą.

Ogólne wiadomości kościelne.

Wiec katolików niemieckich odbył się w tym roku w Landshut w Bawaryi między 30 sierpnia a 1 września. Na pierwszym tajnym posiedzeniu potwierdzono dawniejsze ważniejsze uchwały, dotyczące n. p. niezależności Stolicy Apostolskiej i ponowiono przestrożę przed czytaniem tak zwanych pism i gazet bezbarwnych. Na pierwszym publicznym posiedzeniu przemawiali Najprzewielebniejsi ks. Arcybiskup monachijski i ks. Biskup regensburski. Przewodniczący dr. Bachem omawiał znaczenie wieców. Wiece są publicznym wyznaniem naszej wiary św. i uroczystą reklamacją praw naszych najświętszych. Dla tego to powinny wiece i katolicy wszędzie wyznawać i w czyn zamieniać łączność swoją z Arcypasterzami. Na polu socyjalnem i naukowem, a zwłaszcza w walce o wpływy kościoła na szkołę trzeba nam wyteżyć wszystkie siły i kroczyć naprzód w zwartym szeregu. — Baron Hertling mówił o wierze i nauce wykazując, że dotychczas żaden badacz natury ani też historii nie udowodnił najmniejszej sprzeczności między wiarą i nauką. Zarazem wykazywał konieczność dla uczonych katolików, aby się garnęli w coraz większej liczbie do nauk i aby nauki katolickie doznawały zewsząd wedle sił poparcia. Kanonik ks. dr. Schaedler rozwodził się nad charakterem i siłą miłości chrześcijańskiej w życiu socyjalnem wzywając wszystkie stany do publicznego wykonywania czynków miłosierdzia i do popierania działalności chrześcijańskiej miłości. Na drugim tajnym posiedzeniu przestrzegano między innemi przed uczestnictwem w towarzystwach nauczycielskich wrogich katolikom, polecając w to miejsce katolickie związki nauczycielskie. Na następnym publicznym posiedzeniu omawiał radzca konsystorza dr. Porsch

kwestję rzymską. Od lat 20 jest Leon XIII Papieżem, ale równocześnie więzieniem, wprawdzie nie na barłogu, lecz w świetnym więzieniu. Gdyby choć na krok opuścił Watykan, powtórzyłyby się niezawodnie zajścia z czasów pogrzebu Piusa IX. Papież powinien w Rzymie mieć zupełną wolność, aby rządzić kościołem, a nie powinien być zależnym od zmiennej woli innych mocarzy i od niepewnych gwarancyi. Są tacy, co mówią, że dzieje świata nie dają się nawrócić a władza świecka papieża się przeżyła. Lecz różne zjawiska nas pouczają, że tak, jak obecnie, dalej być nie może. W rozwiązaniu kwestyi rzymskich rozstrzyga jedynie Papież, ten żąda atoli przywrócenia dawniejszych stosunków. Papież musi być wolnym w Rzymie. Szperania i rozumowania nie odkryły dotychczas nic innego, jak tylko to, co Opatrzność zdziałała w ciągu czasów dla niezależności papieżkiej. Dla tego należy nam się ustawicznie domagać niezależności Stolicy Apostolskiej, jak to uczyniliśmy we wczorajszej rezolucyi. Nie wynika z tego, abyśmy pragnęli wojny, albo chcieli naruszyć trójprzymierze. Myli się także ten, co sądzi, że sprawy tej nie pojmujemy poważnie. Pomyślnie, zgodnie i bez groźnych następstw należy rozwiązać kwestję rzymską, i trzeba nam prosić Boga, aby raczył skrócić dni nawiedzenia.

Rektor dr. Huppert mówił o literaturze i dziennikarstwie z uwzględnieniem najnowszych rozporządzeń papieskich, których potrzebę i uprawnienie jasno wykazał. Zabronione jest katolikowi czytać lub kupować książkę, której przedmiotem jest religia, kościół, Papież, jego życie i czyny, zasady i urzędy kościelne, jeśli książka ta nie może się obok swojego tytułu wykazać wyraźnem pozwoleniem kościelnem, że ją wolno drukować. Znaczy to, zdradzać naszą sprawę, skoro popieramy pisma niereligijne, nieobyczajne albo też bezbarwne. — Gwardyan Kapucynów O. Auracker omawiał prawo i obowiązek duchowieństwa współdziałania w rozwiązaniu kwestyi socyjalnej. Kwestję socyjalną powinno się rozwiązać podług zasad prawa Boskiego objawionego w sposób przyrodzony i nadprzyrodzony. Głoszeniem i obroną tych zasad ma się zajmować kościół pouczający. Powrócić do tych zasad jest to samo, co ocalić społeczeństwo. Uchwały powzięte na trzecim zamkniętym posiedzeniu dotyczyły dziennikarstwa i literatury katolickiej, sztuki chrześcijańskiej, którą należy gorliwie popierać, prawa wolności dla wszystkich zakonników, odpoczynku niedzielnego, pojedynków, stowarzyszeń wstrzemięźliwości, związków włościańskich na podstawie chrześcijańskiej, dotyczyły nareszcie wyraźnej potrzeby ntrzymania w szerokich warstwach ludności włościańskiej i miejskiej dostatecznie zamożnego stanu średniego. Trzecie publiczne zebranie zaszczylił swoją obecnością Najprzewiel. ks. Arcybiskup bamberski i miał przemowę, w której dziękował za zaproszenie, wyrażając zarazem swoją radość z powodu tak okazałych objawów życia i wiary katolickiej. Zaznaczył mianowicie, że przedewszystkiem należy się trzymać opoki, na której Pan zbudował Kościół swój. Namiestnik Chrystusowy podał nam w swoich encyklikach wskazówki na wszystko. Wszyscy, każdy wedle sił swoich i swojego stanu, powinni pracować nad tem, aby zasady objawione na wiecu wprowadzić w życie na zewnątrz. Pracować trzeba z Bogiem i w Bogu. Gdy się pracować będzie w wierze i miłości, wtedy spłynie na całe dzieło błogosławieństwo Boże.

Radzca duchowny ks. Starklauf mówił o misjach i stowarzyszeniu św. Bonifacego. Wykazywał on zadania i cele tego stowarzyszenia i innych, położenie katolików w dyasporze, mianowicie około Norymbergii i prosił o poparcie katolików mieszkających w dyasporze przez przystąpienie do stowarzyszenia, którego wydatki wzmagają się z dnia na dzień. — Radzca sądu ziemiańskiego Groeber rozwodził się nad nowem „prawem obywatelskiem“ i jego znaczeniem socyalnem dla stanu średniego, zwłaszcza dla rolników. Stosunki obecne wymagają prawa jednolitego, a także dla rolników jest ono bardzo pożytecznem. Chodzi tylko o to, jak prawo to w sądach będzie wykonywane. W praktyce powinien wiać duch chrześcijański, w którym to duchu prawo to zostało uchwalone. Do tego powinni się przyczyniać przede wszystkim katolicy piórem i czynem.

Tymczasem nadszedł od Ojca św. następujący telegram Jego Eminencji ks. Kardynała Rampolli: „Ojciec św. przyjął z największą radością objawy miłości i przywiązania od 44 wieca katolików ze wszystkich stron Niemiec, zgromadzonych w Landshut. Życzy on z całego serca wiecewi, aby praca jego dla kościoła i dla społeczeństwa obywatelskiego wydała obfite owoce i udziela wszystkim w swojej ojcowskiej miłości błogosławieństwa apostolskiego.“ — Kaznodzieja katedralny dr. Kern mówił o kwestyi szkolnej wykazując potrzebę wychowania religijnego i szkół wyznaniowych. Na ostatniem publicznem zgromadzeniu mówił ks. prob. Ley o ziemi świętej, baron Morsey o zgodzie i jednomyślności katolickiej, a w końcu przemawiał przewodniczący dr. Bachem, dając pogląd na działalność 44-go wieca i wzywając do „wierności i mężnego wyznawania zasad katolickich w rodzinie i w życiu publicznem. Oby ziarno, rzucone w Landshut, padło w całych katolickich Niemczech na ziemię urodzajną i wydało owoc tysiączny dla kościoła i ojczyzny!

Wiadomości dyecezyalne.

Na kierowniczkę rolniczej szkoły gospodarczej poszukuje się katolickiej, wykształconej i z zadaniami takiej szkoły dokładnie obeznanej osoby. Bliższych wiadomości udzieli redakcyja „Posłańca.“

Zmiany w posadach duchownych.

(Przedruk „Zmian w posadach duchownych“ dozwolony jest dopiero w poniedziałek po wyjściu tego numeru.)

Umarł:

dnia 2 września ks. prob. Augustyn Fiedler w Pawłowie, w dek. raciboskim, urodz. 15 lipca 1833 w Opolu, wysw. 6 lipca 1861, ustan. 23 kwietnia 1873.

Niech odpoczywa w pokoju!

Składki

na duchowne zakłady naukowe mające zaradzić brakowi duchowieństwa w dyecezyi.

Za pośr. ks. prob. Hartmana w Mantwarzynie na pewną intencyą 2. bezim. Gogolin, od dwóch rodzin 3, F. publiczne dzięki Boskiemu Sercu Jezusa za wysłuchanie w licznych potrzebach 3. z Lignicy, dzięki Ci. Najśw. Panno Maryo 2, wdowa Sarne, Wrocław, dzięki św. Rodzinie za przywrócenie słuchu mojemu synowi 0,50, H. B. na cześć Nieust. Pomocy na intencyą drogiej naszej matki 1, J. W. na cześć św. Rodziny 3, z Schreiberhau, na cześć Matki Bożej i św. Józefa, na pewną intencyą 2, bezim. o śmierć szczęśliwą 2, H. R. Wrocław, o pomoc i opiekę w ciężkiej potrzebie 1, z Parchwitz, na cześć św. Rodziny 3, z Wronina, pewien rzemieślnik na cześć św. Józefa 1, A. B. do Jezusa, Maryi, Józefa św. o opiekę nad moimi zbłąkanymi dziećmi 1, abonent z Gołej, w parafii Tscheplan: dzięki Ci, Boże, za Twoją świętą Ewangelią 2, tak samo 0,50, za zmarłych rodziców 0,50, na cześć św. Rodziny o błogosławieństwo w pożyciu małżeńskim 1, tysiączne dzięki Niepokal. Sercu Maryi, bądź dalej moją Opieką i Wspomożycielką 1, z Sukowic, na cześć św. Rodziny i św. Antoniego za wysłuchanie 0,80, Kokott z Konar. na cześć Matki Bożej na podziękowanie 1,50, A. S. na cześć Prazkiego Dzieciątka Jezus o śmierć szczęśliwą 1, służąca, na cześć św. Rozalii o wstawienie się 0,70, W. E. Wrocław, na podziękowanie Prazkiemu Dzieciątku Jezus i św. Józefowi 0,50, A. D. Bkw. na cześć Najśl. Sercu Jezusa, Maryi, Józefa św. i św. Anny na podziękowanie i za dusze zmarłych 1, A. Z. z Ch., dzięki Ci, św. Antoni 1, za dusze wszystkich zmarłych 1, czytelniczka, do św. Antoniego na intencyą męża 1, bezim. Psiepole, na pewną intencyą 1, na cześć Jezusa, Maryi, Józefa św., św. Antoniego i św. Tekli na pewną intencyą 1, na intencyą moich dzieci, na cześć św. Antoniego, św. Anny i św. Michała 0,40, P. B. na cześć Prazkiego Dzieciątka Jezus na pewną intencyą 0,50, F. Cz. Wrocław, na cześć św. Rodziny o rozpoznanie powołania 1, na cześć 14 św. Wspomożycieli i św. Notburgi na pewną intencyą 0,50, W. w P. do 14 św. Wspomożycieli i na cześć Prazkiego Dzieciątka Jezus 0,50, C. A. Bytom, do Matki Bożej Nieust. Pomocy i do św. Antoniego z Padwy o spełnienie pewnej prośby 1, abonentka z Bytomia, na podziękowanie św. Józefowi 1, do Najśl. Sercu Jezusa, o zdrowie dla mojego chorego brata 1, Maryo Uzdrawienie chorych, módl się za nami 0,50, na cześć św. Dziewicy, o pokonanie pewnej namietności 0,50, z Zaborza, za dusze w czyściu cierpiące 3, J. J. z W. Płużnicy, za spokój duszy mojego ojca 0,50, A. P. na cześć Jezusa, Maryi, Józefa św. o wysłuchanie 0,50, A. J. K. Helmsdorf, do św. Józefa o opiekę i pokój, do św. Magdaleny o nawrócenie brata 0,50, J. T. do Opatrzności Boskiej 2, za spokój duszy Józefy Fait i Jakóba Tomeczka 1, V. F. Brzeg, do Prazkiego Dzieciątka Jezus o odzyskanie zdrowia 2, za pośr. ks. kap. Racza w Toszku: do Najśl. Sercu Jezusa i Maryi o odzyskanie zdrowia 2, Zofia H. w Tiemendorf, dzięki Ci, Najśl. Sercu Jezusa i Maryi za wysłuchanie 1, Paulina S. w Niem. Piekarach, do Matki Bożej Nieust. Pomocy, do św. Józefa i św. Antoniego o zdrowie dla mojego męża i o szczęście i błogosławieństwo 1, Najśl. Sercu Jezusa, zmiłuj się nad nami 0,50, z Kujaw: na cześć św. Alojzego 1, do Opatrzności Boskiej 1,50, na cześć św. Rodziny o błogosławieństwo w wychowaniu dzieci 1, za dusze zmarłych rodziców i krewnych familii Juracek w Kujawach 2, na cześć św. Rodziny 1, R. w Gliwicach, na cześć Najśl. Sercu Jezusa, Maryi, Józefa św. na pewną intencyą 1, o dobre wychowanie dzieci 0,50, Wichowski i Matuszek, do Najśw. Dziewicy Maryi o szczęście i błogosławieństwo 1, tak samo na pewną intencyą 1, ks. prob. Heide, Maerendorf 5, z par. mysłowickiej od rozmaitych osób na różne intencye 5,75, N. N. w Król. Hucie o pomyślny egzamin 3, Juliusz B. w Bytomiu, na cześć św. Józefa o wstawienie się 2, z Wasławic, do Matki Bożej Nieust. Pomocy i do św. Józefa o pomoc w pewnej sprawie 0,50, A. O. za spokój dusz moich zmarłych rodziców 1, z Rudy, na cześć Najśl. Sercu Jezusa i Maryi, jako podziękowanie za przywrócenie zdrowia pewnej duchownej osobie 1,50, P. H. za spokój dusz zmarłych 1, z Błotnicy, na cześć Najśl. Sercu Jezusa i Maryi, na pewną intencyą 4, na cześć św. Aniołów Stróżów i wszystkich Świętych za dusze wszystkich zmarłych 1, na cześć św. Rodziny na intencyą mojej chorej córki 0,50, z Prudnika 8.

Bóg zapłać!

„Posłaniec Niedzielnny.“